

Unia Lubelska po 450 latach

Unia Lubelska niejako wieńczyła proces zbliżenia, uporczywego, długiego ucierania się racji, punktów widzenia. Aż uzyskano zgodę na głębszą unię, taką, która miała przetrwać jeszcze kolejnych ponad 220 lat – pisze prof. Andrzej Nowak. W 450. rocznicę zawarcia Unii Lubelskiej między Koroną Królestwa Polskiego a Wielkim Księstwem Litewskim, publikujemy tekst, który ukazał się w miesięczniku „Wpis”.

Polska – jedno z najważniejszych dla nas pojęć, bardzo bliskie pojmowania rodzinnego domu, nasza ojczyzna ziemska, którą dziedziczymy przez pokolenia od ponad 1000 lat. Nasz polski dom został zbudowany – rękami naszych przodków – z cegieł wypalanych w piecu kultury europejskiej, tradycji europejskiej, starszej od Polski, w której jednak i Polska wyrosła. To połączenie polskości i europejskości jest nam dane od początku, od chrztu. Ale czy Europa może być dla nas domem w takim samym stopniu jak Polska, jak Ojczyzna? Czy może zastąpić Polskę jako nasz dom? To jest pytanie bardzo ważne, powiedziałbym fundamentalne. Jest ono dziś stawiane wielokroć w sposób przewrotny, taki, by sugerować odpowiedź, by przekonać nas, że stary dom, właśnie owa Polska – dla innych to może być kraj taki jak Węgry, jak Hiszpania, jak Włochy, jak Francja... – że te wszystkie „stare” domy są już zmurszałe, niepotrzebne, że nie są dla nas wygodnym pomieszczeniem, nie są w istocie domami.

W oficjalnym przekazie brukselskim mówi się dzisiaj o Unii Europejskiej w jej obecnym kształcie jako o koncepcji, która ma zastąpić, zniwelować, ostatecznie usunąć tożsamości związane ze „starymi” domami, z anachronicznymi narodami, bowiem te uznane zostały za niebezpieczną przesłankę do wojny, do konfliktów międzypaństwowych. Ich istnienie zmusza – w takim ujęciu – wyłącznie do pilnowania granic, zza których, łypiąc groźnie okiem i trzymając pałkę w ręku, myślimy tylko o tym, jak uderzyć tą pałką sąsiada. Taka wizja Europy jest niestety bardzo nieuczciwym uproszczeniem historii.

Wspominałem już o tym kiedyś szerzej, pozwolę sobie teraz krótko do tego nawiązać, że jakimś symbolem dzisiejszego projektu Unii Europejskiej jest Dom Historii Europejskiej w Brukseli. Zbudowany za pieniądze podatników z całej Europy kosztował 50 mln euro, powstał przy brukselskim parlamencie. To „Dom”, w którym nie znalazło się miejsce dla najwybitniejszych myślicieli europejskich, nie znalazło się miejsce dla żadnego z wybitnych pisarzy naszego kontynentu, nie ma tam ani Szekspira, ani Moliera, ani Cervantesa ani, można powiedzieć: oczywiście, Mickiewicza. Nie ma ich. Nie ma żadnego z wielkich kompozytorów europejskich, nie ma ani Bacha, ani Mozarta, ani Chopina. Nie ma gotyckich katedr, nie ma niczego, co mogłoby się kojarzyć dobrze z Europą – przed Unią Europejską. Dobra Europa zaczyna się bowiem dopiero po 1945 r., wraz z pomysłem UE, a jedynymi, można tak powiedzieć, zapowiadaczami tej pięknej przyszłości są Karol Marks oraz jego uczniowie i następcy. Kościół oraz narody znalazły się na ławie oskarżonych jako główni winowajcy wszelkiego zła w całej przeszłości Europy.

A więc okazuje się, że UE to ma być sposób na zastąpienie starej, złej tożsamości, która opiera się na dwóch fundamentach uznanych nie tylko za zmurszałe, ale za z gruntu złe, zatrute: na narodzie i na religii chrześcijańskiej jako podstawie tożsamości kulturowej Europy nieadekwatnej do nowego, posthistorycznego etapu.

Warto porównać obecny eksperyment pod tytułem „Unia Europejska” z tym – także przecież swoistym eksperymentem historycznym, który miał miejsce wieki temu, i trwał również o wieki całe dłużej od obecnej Unii. Nowy twór, Unia z przełomu XX i XXI wieku już się rozpada. Wciąż o tym przecież teraz mówimy: jeden z krajów w Unii najważniejszych, największych i obdarzonych (obok Islandii, Polski i Węgier) najdłuższą tradycją demokratyczno-parlamentarną w Europie – Wielka Brytania – opuszcza szeregi wspólnoty. A więc ta nowoczesna unia już się rozpada w – zależy, jak liczyć – trzeciej lub szóstej dekadzie swojego istnienia. Tymczasem unia polsko-litewska, a de facto polsko-litewsko-ruska (ruska, od Rusi, nie rosyjska), trwała ponad 400 lat!

W tym roku będziemy obchodzili ważną, piękną 450-tą rocznicę centralnego punktu w historii tej unii: jej zawarcia w ostatecznym kształcie i zaprzysiężenia 1 lipca 1569 roku w Lublinie. Unia Lubelska niejako wieńczyła proces zbliżenia – użyję słowa może źle brzmiącego po polsku, ale słowa, które tu pasuje – ucierania się, uporczywego, długiego ucierania się racji, punktów widzenia. Aż uzyskano zgodę na głębszą unię, taką, która miała przetrwać jeszcze kolejnych ponad 220 lat. Bo trzeba przypomnieć, że Unię Lubelską poprzedzały 184 lata trwania powołanych już wcześniej unii – od Krewa (1385), przez Horodło (1413), Mielnik (1501), aż właśnie po Lublin.

Warto porównać obecny eksperyment pod tytułem „Unia Europejska” z tym – także przecież swoistym eksperymentem historycznym, który miał miejsce wieki temu, i trwał również o wieki całe dłużej od obecnej Unii

Unia, którą chcemy rzetelnie zawierać za zgodą zainteresowanych, z uwzględnieniem ich interesów, nie może być unią narzucaną odgórnie, nie może być unią przyspieszaną. Proces zbliżenia potrzebuje czasu. Czasu na

zrozumienie, przeanalizowanie, wyjaśnienie, czy faktycznie warto być razem w takiej właśnie gromadzie, czy może jednak lepiej być osobno. Dopiero w 184. roku istniejącej już unii polsko-litewskiej dochodzi do ostatecznego aktu jej pogłębienia, do zawarcia Unii Lubelskiej. Jak ona brzmi? To jest w sumie 19 punktów, nie będę ich tu wszystkich przytaczał, chociaż to nie jest długi akt, mieści się na jednej, dużej co prawda, karcie pergaminowej. Przywołam najważniejszy punkt, trzeci: „Iż już Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nie różne ciało, a także nie różna, ale jedna a spólna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła”.

Na kilka pojęć w tym 3. punkcie unii lubelskiej chciałbym zwrócić uwagę. Po pierwsze samo pojęcie Rzeczpospolitej, pierwszy raz wprowadzone do dokumentu tej rangi. Państwo polsko-litewskie to rzeczpospolita, czyli rzecz ludu, rzecz wspólna obywateli. Druga sprawa, bardzo istotna, to pojęcia narodu i ludu, bo obydwa tutaj

występują. Rzeczpospolita zrosła się z dwóch państw i dwóch narodów, czyli z narodu polskiego i litewskiego, tak trzeba to rozumieć, ale zostaje uszanowana tożsamość każdego z tych państw, tak samo, jak ich tradycja, urzędy etc. Ale jednocześnie tworzy się jeden lud w znaczeniu „obywatele”. Obywatele, którzy tworzą razem wspólną Rzeczpospolitą; oni są właścicielami, jeśli można tak powiedzieć, a zarazem sługami Rzeczypospolitej, jednej republiki.

Zastanówmy się pokrótce nad tym, jak Unia Europejska rozumie pojęcie rzeczypospolitej, pojęcie narodu i jak chce kształtować stosunki między mieszkańcami UE, szczególnie w kontekście ich prawa do obywatelskiej reprezentacji w strukturach decyzyjnych wspólnoty.

Unia jest środkiem, a nie celem, a jej wartość rodzi się lub zanika wraz z wartościami, które ona wyraża

Trudno nie zauważyć logicznego, przyczynowo-skutkowego związku kryzysu współczesnej cywilizacji

zachodniej, o czym znakomicie pisze prof. Roszkowski w swej najnowszej książce „Roztrzaskane lustro”, z kryzysem Unii Europejskiej w jej obecnym kształcie. W tym momencie wspaniale wspomógł nas myśl św. Jana Pawła II zaczerpnięta z encykliki „Evangelium vitae”: „Demokracja jest środkiem, a nie celem. Jej wartość rodzi się lub zanika wraz z wartościami, które ona wyraża”. I wydaje mi się, że znakomicie można tę uwagę, głęboką uwagę dotyczącą sensu, lub bezsensu, demokracji odnieść do pojęcia unii: „Unia jest środkiem, a nie celem, a jej wartość rodzi się lub zanika wraz z wartościami, które ona wyraża”.

Musimy zatem zapytać, jakie wartości reprezentowała i jaki cel miała osiągnąć Unia Lubelska, a jakie wartości preferuje i jaki cel chce osiągnąć UE w jej dzisiejszym kształcie. Unia Lubelska nie była zbudowana tylko na wartościach, choć absolutnie ich nie pomijała, będzie jeszcze o tym mowa. Unia ta, jak i każda inna, była tworem politycznym, której członków najbardziej motywowało do współdziałania zagrożenie zewnętrzne (najpierw Zakon Krzyżacki, a potem rosnące w siłę Księstwo Moskiewskie). Bezpośrednią przesłanką do zawarcia ściślejszej unii w Lublinie była właśnie agresja moskiewska, trwająca już ponad 75 lat, niemal bez przerwy, która uszczuplała, odrywała po kolei od Wielkiego Księstwa Litewskiego coraz większe obszary.

Litwa nie była w stanie poradzić sobie z tym sama; straciła już 1/3 terytorium na rzecz agresywnego imperializmu moskiewskiego. Królestwo Polskie łożyło coraz większe środki pieniężne na to, żeby Litwę obronić. Reforma wewnętrzna (był to tzw. ruch egzekucyjny), która dokonywała się wtedy w Koronie Królestwa Polskiego, postawiła sobie za jeden z celów właśnie lepsze spojenie z Wielkim Księstwem Litewskim, żeby skuteczniej radzić sobie z zewnętrznym zagrożeniem. W roku 1563 Iwan Groźny zajął Połock, wielką twierdzę i gród – już nie tak daleko od Wilna, trzy-cztery dni drogi pokonywanej przez konnego. W tej sytuacji przyspieszyły rozmowy o pogłębieniu sojuszu, chociaż była część wielkich panów litewskich, która tego nie chciała; obawiali się o swoje przywileje, które posiadali wewnątrz Wielkiego Księstwa Litewskiego, o zachowanie swojej dominacji nad szlachtą, która równych z nimi praw w Wielkim Księstwie nie miała. I tu okazała się bardzo skuteczna inna część traktatu, nie związana bezpośrednio z zagrożeniem zewnętrznym, ale – z wartościami.

W Koronie Królestwa Polskiego od dawna rozwijała się kultura obywatelska, a wraz z nią prawa dla tych, którzy ją podzielali, którzy byli do niej zaproszeni. W roku 1563 król Zygmunt August nadał ostatecznie pełne prawa szlachcie prawosławnej. Prawa dla prawosławnych istniały oczywiście od dawna, były stopniowo, przez kolejne dekady, poszerzane wewnątrz państwa polsko-litewskiego, w którym dominował katolicyzm. Zygmunt August ostatecznie zakończył ten proces, dając wszelkie, bez żadnych wyjątków prawa szlachcie prawosławnej, a prawosławie było wszak wyznaniem większości mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego. Szlachta z terenów dzisiejszej Białorusi i Ukrainy była w ogromnej części prawosławna.

To właśnie przyczyniło się do zwycięstwa przekonania, że warto być z Polską, bo Polska wraz z nią oferuje wolność, uczestnictwo w obywatelskiej strukturze wolności. A więc jednoczyło nie tylko zagrożenie zewnętrzne, poważne zagrożenie ze strony rodzącego się imperium Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, ale i wartości obywatelskie przekonały politycznie czynnych mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego do unii. Ogromna większość szlachty w Księstwie, chcąc mieć takie same, pełne prawa jak obywatele w Koronie Królestwa Polskiego, ostatecznie przysięga na unię z Polską.

Ale było coś jeszcze trzeciego, trzeci istotny element, który tutaj też trzeba koniecznie uwypuklić: to była kultura. Kultura nie tylko w rozumieniu wąskim: malarstwo, muzyka czy literatura. To była również wysoka kultura polityczna. Moment zawarcia Unii Lubelskiej przypada na czas prawdziwego Big Bangu, wielkiego wybuchu polskiej kultury, a szczególnie kultury słowa. To jest czas, kiedy Mikołaj Rej już odchodzi, ale u szczytu rozwoju jest talent Jana Kochanowskiego, kiedy

dokumenty państwowe zaczyna wystawiać się po polsku, nie po łacinie. Pisząc IV tom „Dziejów Polski”, sięgałem już do tekstu oryginalnego Unii Lubelskiej, nie tłumaczenia z łaciny. Akt ten został już spisany po polsku, bo język polski dojrzał w międzyczasie do języka zdolnego wyrazić każdy niuans myśli politycznej i każdy odcień ludzkiej duszy.

*Moment zawarcia Unii
Lubelskiej przypada na czas
prawdziwego Big Bangu,
wielkiego wybuchu polskiej
kultury, a szczególnie kultury
słowa*

I to właśnie sprawiło,
że najwięksi panowie
litewscy, którzy
mówili w domu po
litewsku, jak
Radziwiłłowie –
Mikołaj Rudy,
Mikołaj Czarny –
rozumieli i

akceptowali to, że w życiu publicznym należy porozumiewać się po polsku, bo to jest język, którym można wyrazić więcej i precyzyjniej. Jeszcze nie ma na razie literatury litewskiej, nie ma także akurat wtedy, mimo głębokiej tradycji i bogatej kultury, literatury w języku ruskim. Zaistniała zatem bardzo wyraźna przewaga atrakcyjnej kultury polskiej i niesionej wraz z nią idei, czy raczej całego zestawu idei i wartości, włączających się w nurt ówczesnej kultury europejskiej. Dzięki temu właśnie Unia Lubelska mogła się zakorzenić na kolejne ponad dwa wieki.

Jej symbolami były nie tylko dzieła Jana Kochanowskiego przeniesione na wschód, ale także kształt kościołów, które ustawiły niejako granicę kulturową na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Łatwo jeszcze i dzisiaj zobaczyć, gdzie kończą się świątynie gotyckie oraz barokowe, a gdzie zaczyna się już wyłączne panowanie cebulastych kopuł

moskiewskiej architektury. Kultura polska przenosi tradycje wolności również do miastach; Mińsk, Kijów, Grodno przyjmują z dumą prawo magdeburskie przez Polskę. Przez nasz kraj idzie to, co wartościowe z Zachodu do krajów na wschód od Polski położonych, które łączą się z nią w Unii Lubelskiej.

I to powiedziawszy, spójrzmy teraz na te wartości i te cele, które niesie ze sobą Unia Europejska. By nie pomylić się w tym zestawie, sięgnąłem do bardzo aktualnej, wydanej parę tygodni temu broszury, jaką przygotowała Komisja Europejska i Fundacja Batorego pt. „Unia – czy ją znamy?” Napisana została przez panią byłą ambasador w Moskwie, Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz oraz pana Jana Jakuba Chramca.

Zaczynamy od zagadnienia tak sformułowanego: „Czym jest Unia? Po pierwsze dialog zamiast wojny”.

Jedyna perspektywa wojny, jaka może się dziś jawić między krajami wspólnoty, to byłaby chyba wojna domowa. Przed zagrożeniem z zewnątrz może nas chronić NATO, sojusz atlantycki. Sugeruje się jednak, że jeśli ustanie między nami dialog – wojna będzie nieuchronna. Zagrożenie jest zatem wewnętrzne: to my, mieszkańcy Europy, jesteśmy zagrożeniem dla Unii. Unia chronić chce nas przed nami samymi, bo my, gdyby jej nie było, natychmiast zaczęlibyśmy wojnę, trzecią wojnę światową między sobą. Oto fundamentalne uzasadnienie obecnej Unii. Pierwszą podstawą, na której Unia Europejska buduje swoją potrzebę, a nawet konieczność – jest projekcja strachu. Jeżeli nie będzie UE, to rzucimy się sobie wszyscy do gardeł, pozarzynamy się, bo w każdym z nas siedzi jakiś Adolf Hitler...

„W Unii jest dobrze żyć”, to jest drugi punkt, bardzo pięknie, choć ogólnikowo brzmiący. Niestety przeczy mu załączona tam tabelka, która odwołuje się do badań poczucia szczęśliwości. Są takie, prowadzone w różnych krajach na świecie, i okazuje się, że jednak Unia przegrywa w tych badaniach z tymi okropnymi Stanami Zjednoczonymi Donalda Trumpa; tam więcej ludzi określa się jako szczęśliwi niż w Unii Europejskiej, niż Brukseli czy w Paryżu. Choć z pewnością mniej identyfikuje się ze szczęściem w Rosji czy w Chinach, ale nie wiem jednak, czy to wystarczy jako dobra reklama dla UE.

Broszura przekonuje dalej, że Unia w istocie zwiększa znaczenie Polski: „Polaku, jesteś w Unii ważny”. Tak brzmi tytuł kolejnego rozdziału broszury, przywołujący hasło konstytucji sejmowej z 1505 r. Nihil novi – nic o nas bez nas, nic nowego bez naszej decyzji. Tu wkraczamy już w obszar nowomowy, tzn. w obszar, w którym hasła propagowane przez Unię są w istocie zaprzeczeniem rzeczywistości. Bo, czy rzeczywiście nic o nas bez nas?

Jeżeli Polska nie mogła zdecydować o tym, kto ją reprezentuje w Komisji Europejskiej, tylko została przegłosowana przez pozostałe kraje, to akurat znaczy: wszystko, co najważniejsze dla nas, może być zdecydowane bez nas. Skoro w najważniejszym głosowaniu, gdzie demokratycznie wybrany rząd polski i parlament polski nie miały żadnego wpływu na to, kto będzie kandydatem z Polski na objęcie urzędu przewodniczącego Komisji Europejskiej pokazało jasno, że jednak coś o nas bez nas, i to coś ważnego, może być rozstrzygane. A choćby teraz, brutalnie, z naruszeniem wszelkich procedur, przeforsowanie w Parlamencie Europejskim przez imperialny tandem Merkel-Macron nowych przepisów w sprawie przewoźników

drogowych. Korzyść dla Niemców i Francuzów ma bez dyskusji przeważać sprzeciw zgłaszany przez słabszych – w tym przez Polskę. Milion osób związanych z polskimi firmami transportowymi (i miliony innych: z Węgier, Litwy, Łotwy, Chorwacji, Belgii, Irlandii, Bułgarii, Malty) – poniesie ciężkie konsekwencje skrajnego egoizmu prawdziwych dyktatorów w Unii – i protesty nie tylko Polski, ale wszystkich wymienionych krajów okazują się bezskuteczne. Tyle o zasadzie „Polaku, jesteś w Unii ważny”. Owszem, ale o ile powtarzasz to, co każą „mądrzejsi” i „starsi” – z Berlina czy z Paryża.

Nie ma potrzeby omawiać wszystkich rozdziałków wspomnianej broszury, powiem tylko jeszcze o dwóch. Jeden z nich zatytułowano: „Unia to wartości”. To nas powinno zainteresować.

A więc jakie wartości wymienia ów tekst? „Celem Unii jest obrona demokracji, praworządności i praw człowieka”. I tu może przypomnę, że jeszcze 10 – 15 lat temu, mówiło się dużo o deficycie demokracji w Unii, w strukturach unijnych, bo przecież wiadomo, że Komisji i właściwie większości unijnych instytucji nie wybiera się w sposób demokratyczny. Remedium na to miało być wzmocnienie Parlamentu Europejskiego. Dzisiaj jednak nikt nie mówi już o deficycie demokracji. A przecież nic się w tym względzie nie zmieniło, instytucje unijne nie stały się ani o włos bardziej demokratyczne. Tyle tylko, że już się o tym nie mówi.

Dziś mówi się za to o zagrożeniu „populizmem”. Z punktu widzenia Brukseli demokracja jest w gruncie rzeczy zagrożeniem. Nazywa się ją więc teraz: populizmem. Cóż jednak oznacza populizm? Wolę ludu (*populus*), a raczej ludów, „demosów”, które zamieszkują UE i które

powinny być z definicji obywatelami nie tylko we własnym kraju, ale i w tej większej Rzeczypospolitej. Przecież nie co innego, jak wola ludu oznacza właśnie demokrację. Jednakże UE nie jest rzeczą pospolitą (*res publica*) i w UE nie ma takiego ludu, jak ten wymieniony w 3. punkcie Unii Lubelskiej, rozumiany jako wspólnota polityczna ponad mającymi świadomość własnej tożsamości narodami, składającymi się na unię. Według Unii Lubelskiej lud polityczny jest właścicielem i zarazem sługą Rzeczypospolitej. Natomiast Bruksela przekonuje dzisiaj, że taki lud jest największym zagrożeniem dla niej samej, zatem: wara wam, hołoto, od UE! Coraz wyraźniej ujawnia się to, że nie lud, nie obywatele, lecz ktoś inny jest właścicielem i zarządcą złożonej z 28 krajów wspólnoty. Obywatele są tylko zagrożeniem dla Unii, są niebezpieczni, bo na salonie brukselskim „śmierdzą populizmem”.

Otóż jeśli tak spojrzymy na dzisiejszą UE, to zobaczymy, że obywatelskość jest w niej postawiona na antypodach tego, czym była w I Rzeczypospolitej, czym była w Unii Lubelskiej. Tam przyciągała, zresztą nie tylko szlachtę. Czytałem teraz znakomitą książkę bawarskiej badaczki Karen Friedrich, która opisuje, jak atrakcyjny był polski model obywatelski dla mieszczan Prus Królewskich, tych z Gdańska, Elbląga, Torunia i innych miast. Byli oni całkowicie przekonani, że warto być i żyć w Rzeczypospolitej, chociaż na co dzień mówią po niemiecku, chociaż nie mają takiej tożsamości jak mieszkańcy, powiedzmy, Małopolski. Tu mieli możliwość realizacji najpiękniejszego przeznaczenia człowieka we wspólnocie politycznej: wolności. A gdzie indziej tego nie było, w Prusach Książęcych, u elektora brandenburskiego tego nie było.

Dzisiaj UE nam mówi: obywatelskość jest zagrożeniem, demokracja jest w istocie zagrożeniem, wbrew tezom omawianej w skrócie tutaj propagandowej broszurki. Otóż właśnie z tego punktu widzenia warto spojrzeć na doświadczenie polskie, które nie było doświadczeniem wiecznym: unia skończyła się, licząc od unii krewskiej, łącznie po 410 latach, skończyła się wraz z zaborami. Skończyła się nie dlatego, że chcieli tego Litwini, Polacy, Białorusini czy Rusini mieszkający w Rzeczypospolitej, tylko dlatego, że rozebrały ją sąsiednie, imperialne mocarstwa.

Tu wracam do kwestii siły fizycznej – unia, żeby trwać, potrzebuje nie tylko wartości, ale i siły odpornej na zagrożenia zewnętrzne, gdy takie wystąpią. Czy dzisiejsza Unia Europejska oferuje taką siłę? Jest taki punkt w owej broszurce, który mówi „Unia tarczą przed mocarstwami”. Bardzo ciekawy tytuł. Odzwierciedla on sformułowanie francuskiego prezydenta Macrona, który stwierdził niedawno, że Unia powinna stworzyć armię, która będzie chroniła obywateli Europy przed USA, Chinami i Rosją... Czyli głównym zagrożeniem dla nas Europejczyków są Stany Zjednoczone Ameryki, bo nie ma już wspólnoty zachodniej, nie ma transatlantyckich więzi. To USA są groźbą dla Unii, taką samą, a nawet większą niż Władimir Putin, taką samą, a może nawet większą niż Xi Jinping czyli komunistyczna Chińska Republika Ludowa.

Niezależnie od tego, jak Bruksela identyfikuje wrogów, te mocarstwa, przed którymi ma nas bronić, to trzeba powiedzieć wyraźnie, że UE de facto nie ma żadnych zdolności do takiej obrony, nie oferuje żadnej większej siły militarnej, która mogłaby zatrzymać jakiegokolwiek poważniejsze zagrożenie. Tymczasem następny punkt tej broszurki zatytułowano w sposób już zupełnie, powiedziałbym, zabawny:

„Bezpieczna Europa”. Stwierdzono w nim m.in., że zagrożenie terrorystyczne na terenie Unii zmniejsza się systematycznie w ostatnich latach. To jest właśnie przejaw brukselskiej nowomowy. Unia zwiększa nasze bezpieczeństwo przed zagrożeniem terrorystycznym, ale jednocześnie otwiera swoje granice dla tych, którzy mogą to zagrożenie poważnie zwiększyć. To zagrożenie jednak nie ma znaczenia, skoro otwieranie granice może pomóc w likwidowaniu starej tożsamości! Pomóc w likwidowaniu tego starego domu, w których czuliśmy się u siebie: chrześcijańskiej Europy.

Co prawda już były, ale wciąż aktywny publicznie, francuski minister wezwał Europejki do tego, by nie rodziły dzieci, ponieważ trzeba zrobić miejsce dla licznych dzieci, które rodzą się w Afryce i w Azji. W związku z tym my, Europejczycy, nie powinniśmy mieć potomstwa. I na tym polega właśnie „zbrodnia” polityki Prawa i Sprawiedliwości, że próbuje przez zachęty socjalne pobudzić dzietność w Polsce! Zamiast zapraszać imigrantów, by się tu rozmnażali i zarazem popularyzować aborcję, jako część Wilkommenskultur wobec dzieci imigrantek.

Skoro użyłem słowa z niemieckiej nowomowy, chciałbym na koniec przywołać także słowa Georga Wilhelma Hegla, niewątpliwie wielkiego filozofa europejskiego, jednego z tych wielkich nieobecnych w dzisiejszym Domu Historii Europy. Otóż Hegel stworzył kiedyś bardzo piękną metaforę: „sowa Minerwy [symbol mądrości, erudycji i przenikliwości – przyp. red.] wylatuje o zmierzchu”. To znaczy, że rozpoznanie tego, co dzieje się z nami, z naszą wspólnotą, zwłaszcza kiedy dzieje się źle, przychodzi w momencie, kiedy już coś się stało, kiedy już ten kryzys nastąpił. Taką właśnie rolę odgrywa – jak mi się wydaje – niezwykła, wspaniała i głęboka książka, wieloaspektowa książka, prof. Wojciecha Roszkowskiego „Roztrzaskane lustro. Upadek

cywilizacji zachodniej”. Jest taką sową Minerwy; z wysokości jej lotu zobaczyć można kryzys dzisiejszej Europy jak na dłoni i zrozumieć jego przyczyny. Połączyłbym jednak tę refleksję Hegłowską z pewnym aspektem nadziei, który przywołuje inna metafora, jeszcze głębsza, starsza i ważniejsza dla nas: metafora arki i gołębicy. Gołębica wylatuje z arki w poszukiwaniu końca potopu, ale wraca raz i drugi, w końcu odlatuje na zawsze, ponieważ znalazła stały, pewny ląd, potop się skończył.

Jeśli będziemy mieli do dyspozycji arkę, to będziemy mogli, gdy opadną fale potopu, zejść bezpiecznie na suchy ląd. Ale najpierw musimy zapewnić sobie arkę, zbudować ją, ochronić przed tymi, którzy chcieliby ją rozebrać. A z czego zbudowana jest arka? Z dawnego, solidnego, potężnego drewna, z tego, co było stare, z tego, co było przedtem, co było przed potopem. Bez tego materiału, bez tego drewna i bez dawnej wiedzy, która pozwalała połączyć poszczególne elementy w niezatapialną arkę, świat by nie ocalał. Taka jest właśnie historia, pozwalająca zachować nadzieję tylko dzięki czerpaniu z tradycji. Taka jest między innymi historia Polski, Rzeczypospolitej, Unii Lubelskiej, Europy. Wielka historia kultury, tradycji europejskiej jest tym, co potrzebne jest nam, byśmy zbudowali z tego arkę, dzięki której dotrzemy wspólnym wysiłkiem do końca tego kryzysu – z Bożą pomocą.

Tekst ukazał się w numerze 4/2019 miesięcznika „Wpis”. Publikujemy za uprzejmą zgodą redakcji.

Fot. © Teresa Żółtowska-Huszczka/Muzeum Narodowe w Warszawie